

## WSPOMNIENIA

Danuta Butryńska-Wnuczek

# Kartki z przeszłości – osobiste wspomnienia wnuczki Piotra Kuśmiderskiego

Spacerując po Przemyślu, mieście przyciągającym bogactwem kościołów, pnących się w górę ulic, secesyjnych kamienic, zaułków pełnych swoich tajemnic i historii dotarłam do Muzeum Miasta Przemyśla, ul. Rynek 9. Zwiedzając muzeum, zobaczyłam medal „Gwiazda Przemyśla”, który przyciągnął moją uwagę, bo taką „Gwiazdę Przemyśla” mam w domu – leży razem z innymi pamiątkami po moim dziadku Piotrze Kuśmiderskim. „Za dzielną obronę i walkę polsko-ukraińską o Przemyśl i ziemię przemyską od 1 listopada 1918 roku do 16 maja 1919 roku”.

W obronie miasta brały udział Przemyskie Orłęta, mieszkańcy miasta i legionści z Krakowa mjr. Stachewicza. Obrona Przemyśla była pierwszą zwycięską bitwą odradzającego się Wojska Polskiego.

Wielokrotnie oglądałam medale i oznaczenia mojego dziadka Piotra, ale teraz nabrały realnego znaczenia, bo poznałam wydarzenia i miejsca, gdzie



Kartki pocztowe pisane przez Piotra Kuśmiderskiego



Piotr Kuśmiderski



Legitymacja „Gwiazdy Przemyśla”

zostały zdobyte. Zaczęłam przeglądać kartki poczty polowej, które pisał do siostry Izabelli, Sylwiny i swojej ukochanej Boguni Tomaszewskiej – mojej przyszłej babci. Czytając karty pocztowe byłam wzruszona, czasem rozbawiona i zdziwiona jego dojrzałością – polubiłam młodego Piotra.

Cytaty z listu do siostry Izabelli, okolice Wilna, 15 stycznia 1920 r.:

„Kochana Siostrzyczko,

Piszę do Ciebie kochana Izabello o swojej tęsknocie za Wami, u nas nawet wesoło, spotykamy ładne Litwinki i dużo się śmiejemy...” „Siedzę samotnie przy tym telefonie i już mi się znudziło”. „Niedziela, chcemy pójść do kościoła, ale nie ma, ktoś poszedł do Popa czy możemy przyjść. Wkraczamy do cerkwi w szyku, ludzie się rozstępują, kobiety płaczą”. „Myślę

o stronach rodzinnych i o Was, abym mógł powrócić szczęśliwie”.

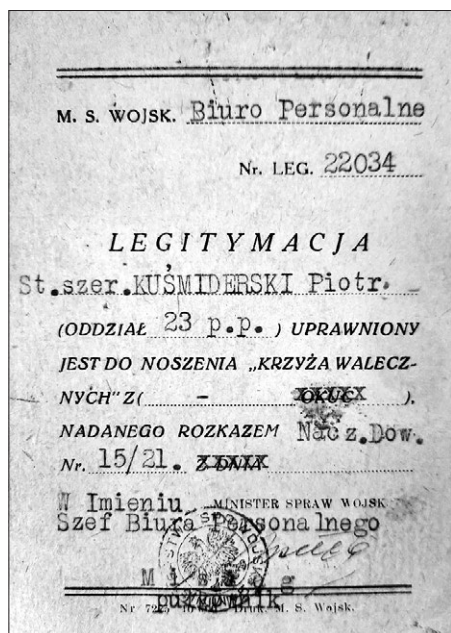
Piotr Kuśmiderski urodził się 23 listopada 1897 r. w Urzędowie w wielodzietnej rodzinie rzemieślniczej. Rodzice dziadka – Józef i Otylia Kuśmiderscy mieszkali przy ul. Janowskiej (po prawej stronie rynku). Wykonywali zwód rzemieślniczy – byli bednarzami i rolnikami. Piotr Kuśmiderski należał do POW, ukończył kurs podoficerski w Urzędowie w 1917 r. W listopadzie 1918 r. brał udział w rozbrajaniu wojska austriackiego, a 6 listopada razem z 74 ochotnikami z Urzędowa przekroczył zieloną granicę i wstąpił do Legionów Józefa Piłsudskiego w Krakowie.

Walki o Przemyśl i Lwów były dla młodego Piotra wielkim zrywem patriotycznym. W 1920 r. został wcielony do 23 Pułku Piechoty Lubelskiej 3 kompanii telefonicznej porucznika Stasiaka, z którą przeszedł cały szlak bojowy Legionów do 1921 r.

Piotr Kuśmiderski został odznaczony: „Gwiazdą Przemyśla” (1920), Krzyżem Walecznych (1920), medalem



Odznaczenia Piotra Kuśmiderskiego



Legitymacje odznaczeń Piotra Kuśmiderskiego: Krzyż Walecznych (z lewej) i Medal Niepodległości

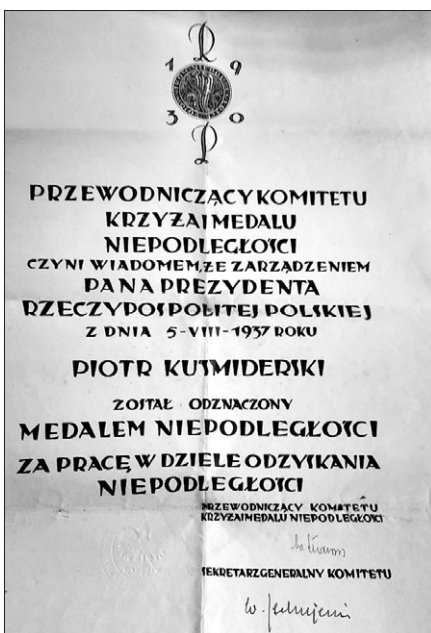


Piotr Kuśmiderski – ostatni rząd, piąty od lewej

„Polska swemu Obrońcy za wojnę 1918–1921” i Medalem Niepodległości (1937).

Jako dziecko pamiętam „dziadzia” Piotra, jak przyjeżdżał do naszego domu w Lublinie – zawsze miał dla mnie śliwki w czekoladzie i pił herbatę bawarkę. Uwielbiał rozmowy z moim drugim dziadkiem Wojciechem Butryńskim. Panowie całymi godzinami wspominali swoje młode lata, a ja przysłuchiwałam się ich rozmowom. Zapamiętałam wydarzenie z frontu koło Wilna. Dziadek rozwijał linię telefoniczną, kiedy zastrzelono pod nim konia – przeleżał pod zwierzęciem całą noc. Rano, kiedy front ucichł, udało mu się wydostać – ocalał cudem.

Zachowało się kilka zdjęć, kilka kartek z przeszłości i przekonanie, że Piotr Kuśmiderski – mój dziadek, był wspaniałym człowiekiem, patriotą zdolnym do poświęceń. Całym swoim życiem udowodnił, że ojczyzna, wolność,



Bogumila z Tomaszewskich Kuśmiderska

honor to wartości, które są niezniszczalne. Pamiętam wigilie w domu rodzinnym, kiedy zawsze pierwsza modlitwa była „za ojczyznę i Wodza Józefa Piłsudskiego” – był jego wiernym żołnierzem do końca swojego życia.

Dziadek był dobrym i kochającym mężem dla mojej babci Bogumily z Tomaszewskich, o której zawsze mówił Bogunia. Oddanym i sprawiedliwym ojcem dla

swoich córek – Jadwigi i Lucyny. Wychował je po żołniersku – na dzielne kobiety, które po śmierci swojej mamy poradziły sobie w życiu i były podporą i opieką dla swojego ojca. Piotr Kuśmiderski zmarł 30 lipca 1985 r. Nigdy nie poznałam swojej babci – patrząc w jej ciepłe oczy odnajduję „babciną” miłość, której nigdy nie zaznałam.

---

*Kazimierz Cieśliski*

## Przypomnienie

Pochmurne południe jesiennego dnia. Śniegu jeszcze nie ma, ale mrozu kilka stopni, szczypie w uszy. Dzień ponury, jaki potrafi być tylko w okresie późnej jesieni.

Przez dziedziniec dawnego klasztoru idzie starszy, siwy pan w szarej jesionce i kapeluszu na głowie. Stary miłośnik zabytków zmierza w kierunku drzwi Muzeum Regionalnego. Rejon ten zna dobrze. Tu kiedyś, przed wielu laty uczęszczał do Gimnazjum Wieczorowego. To też zdziwił się niepomniernie, kiedy doszedłszy do drzwi wejściowych Muzeum zobaczył w prawo od nich dziwne wejście do budynku idące w dół, ozdobne, o szerokich schodach; ściany owego wejścia posiadały powierzchnię z czerwonych odkrytych cegieł.

Starszy, siwy pan przystanął i zaczął się zastanawiać. Co to za wejście? Dokąd ono prowadzi? Kiedyś tego wejścia nie było. Pomału, nie spiesząc się, zaczął schodzić tymi schodami w dół. Schody skręcały w lewo, on skręcił też i – aż przystanął, wytrzeszczając oczy. Przed jego oczami ukazała się jedna niewielka sala, dalej druga sala, duża. Obie posiadały piękny wystrój wnętrza. Ściany i sufit z „surowych” czerwonych cegieł miały prostotę i surowością wnętrza. Ale surowością pozorną. Obie sale zastawione były pięknymi, ciemnymi stolikami i krzesłami. U sufitu świeciło słabe światło elektryczne, nasycając obie sale nastrojowym półmrokiem. Przy końcu dużej sali był bufet, dobrze zaopatrzone w napoje alkoholowe, oddzielony od sali kontuarem. Za nim stał wysoki, młody człowiek o ciemnych włosach.

„Dzień dobry” – powiedział młody człowiek. – „Czym mogę służyć?”

Starszy, siwy pan nie od razu odpowiedział. Stał w miejscu, szeroko roztwartymi oczami patrzył wokoło. Przez gardło nie mogło mu przejść żadne słowo. Dopiero po dłuższej chwili, gdy młody człowiek zza kontuaru z pewną niecierpliwością zaczął patrzeć na niego, odpowiedział: „Dziękuję, niczym mi Pan nie może służyć. A patrzę na ten lokal z wielkim wstrętem, bo ja go znam z innej strony. Ja tu mieszkałem kilka tygodni”.

„Proszę? Co Pan powiedział?” – zapytał młody człowiek. – „Tu nikt nie mógł mieszkać, tu były piwnice”.

„A ja tu jednak mieszkałem. Dużo tu nas mieszkało. O! W tym rogu pod oknem spałem na podłodze na barłogu. Pod tą ścianą głowami do muru spał jeden rząd ludzi, pod drugą ścianą drugi rząd. Oba rzędy śpiących noga-

mi dotykały do siebie. Naczynie z nieczystościami stało w tym kącie. Obok niego leżał okrutnie zawoszony osobnik o niezidentyfikowanej przynależności narodowościowej. Przez cały czas wspólnego pobytu nie odzywał się wcale. Może nienormalny. W nocy podczas snu szczury tak po nas chodziły, że czuło się ich muśnięcie futerkiem po twarzy. A na oknie leżało tyle suchego chleba... Potem w obozie często wspominaliśmy z rozrzewnieniem o tym”.

Młody człowiek stanął jak wryty. Teraz on oczy rozwarł szeroko i, zaszokowany, nie wiedział, co powiedzieć. Wreszcie, po dłuższej chwili, wykrztusił: „Tak, tak! Coś słyszałem na ten temat. Ale, ale za co Pan tu przebywał?”

Starszy siwy Pan zacisnął szczęki. Twarz mu pochmurniała, oczy twardo spojrzwały na młodzieńca.

„Za co? Za to!” – powiedział. Jednym szarpnięciem rozpiął jesionkę, aż jeden oderwany guzik stuknął o podłogę.

Młody człowiek spojrzął na pierś starszego, siwego pana, ale w nastrojowym półmroku kawiarni niewiele zobaczył. Dopiero gdy podszedł blisko, niemal dotykając twarzą jego piersi, zobaczył odznakę ZBoWiD, Krzyż Partyzancki i dwa inne medale.

Młody człowiek dziwnym wzrokiem spojrzął na starszego pana, mówiąc: „No tak, no tak... I, i co dalej? Czy stąd Pana puścili do domu?”

„Nie, proszę Pana. Stąd przez obóz w Lublinie w pobliżu stacji kolejowej, gdzie nas ubrano w mundury niemieckie, wywieziono na Sybir! Miałem wówczas 19 lat” – odpowiedział starszy pan.

Młody człowiek nic nie odpowiedział. Dziwnym wzrokiem patrzył to na starszego pana, to oczami wodził po stylowych ścianach młodzieżowego klubu – dawnego więzienia.

A starszy siwy pan, chyląc głowę na pożegnanie, powiedział: „Do widzenia! Niech się tu młodzież dobrze bawi”.

Ciężkim krokiem, powoli wyszedł schodami na dziedziniec klasztorny i głęboko zaczerpnął mroźnego powietrza. „Tak, tak” – mruzczał. – „Niech się młodzież dobrze bawi. Bo my na zabawę nie mieliśmy czasu. Dla nas była walka, potem mróz, głód i nędza. A także śmierć”.

Postscriptum. Działo się to 4 listopada 1979 r. o godz. 12.00 w byłym więzieniu, a obecnej klubokawiarni w Kraśniku Lubelskim. Ów starszy siwy pan to dawny strzelec Armii Krajowej, pseudonim Chrobry.

Warszawa, grudzień 1979 r.

Leopold Gałkowski

## Wspomnienia sprzed 40 lat ze stanem wojennym w tle

Powstanie „Solidarności” i wprowadzenie stanu wojennego to wydarzenia w najnowszej historii Polski, które miały znaczący wpływ na życie wielu Polaków. Zrządzeniem losu stałem się uczestnikiem tych wydarzeń. Po czterdziestu latach szczegóły zapamiętanych sytuacji i osobistych przeżyć zatarły się w pamięci. Żeby zachować to, co jeszcze pamiętam, podjąłem próbę ich spisania. Niektóre z nich pamiętam niemal w szczegółach (chyba te bardziej dramatyczne), inne mniej, a jeszcze inne zatarły się prawie całkiem. Razem stanowią interesujący obraz tych trudnych i skomplikowanych czasów, w których przyszło mi żyć i pracować.

Żeby zrozumieć sytuację, w jakiej się znalazłem w czasie powstania „Solidarności” i stanu wojennego, muszę przypomnieć lata mojej młodości, kiedy to każdy młody mężczyzna miał obowiązek odbycia zasadniczej służby wojskowej. Ja trafiłem do Wojsk Ochrony Pogranicza (WOP), co po wielu latach miało swoje konsekwencje. Po odbyciu służby wojskowej i krótkim okresie pracy w Kraśnickiej Fabryce Wyrobów Metalowych (KFWM) rozpocząłem studia techniczne. Jako rezerwista mogłem zrezygnować z zajęć w studium wojskowym (z czego skorzystałem). Zyskiwałem na tym przez dwa semestry jeden wolny dzień w tygodniu, tracąc jednocześnie możliwość uzyskania tytułu podchorążego. Podejmując taką decyzję miałem nadzieję, że moje związki z wojskiem definitywnie zakończyłem. Jak czas pokazał, myliłem się i to bardzo.

Jest rok 1980. Mieszkam w Lublinie. Pracuję w Zakładzie Elementów Budowlanych (ZEB), potocznie nazywanym Fabryką Domów, przy ulicy Melgiewskiej, który podlega pod Kombinat Budowlany (KB) z siedzibą przy ul. Narutowicza. Jestem mistrzem (w budownictwie używany jest tytuł majster) na Wydziale Mechanicznym w Służbie Głównego Mechanika. W miesiącu lipcu przez Lublin przetacza się fala strajków. Strajkują też pracownicy ZEB. Pod koniec sierpnia wybucha kolejna fala strajków, tym razem zapoczątkowana wydarzeniami w Stoczni Gdańskiej. We wrześniu tworzą się komórki organizacyjne NSZZ „Solidarność”, także w ZEB. Zapisuję się do „Solidarności”. Okazuje się, że oprócz mnie z kadry technicznej zapisał się jeszcze główny mechanik i chyba jeden lub dwóch innych mistrzów. Reszta kadry unika kontaktów z „Solidarnością”. Specjalnie nie angażuję się w działalność związkową, ale i tak dla moich pracowników stanowią wsparcie i siłę doradczą. 10 listopada 1980 r. zostaje zarejestrowany w sądzie Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. Nie pamiętam dokładnie, ale mniej więcej w tym samym czasie dostaję wezwanie na Komendę Miejską Milicji Obywatelskiej przy ul. Północnej w Lublinie. Zgodnie z wezwaniem zgłaszam się w wyznaczonym dniu. Spotykam innych nie mniej zaskoczonych ludzi. Dostajemy

karty mobilizacyjne do Zmotoryzowanego Odvodu Milicji Obywatelskiej w Lublinie. W pracy pytam moich pracowników, starych lublinian, czy wiedzą co to jest ZOMO. Nie bardzo wiedzą. Jeden z nich tłumaczy mi, że na ulicy Zielonej jest taka jednostka milicji, z której zazwyczaj milicjanci wyjeżdżają samochodami gdzieś za Lublin, ale co robią to on dokładnie nie wie. Tyle wiedzieliśmy o ZOMO w tamtym czasie.

Nie minęło dużo czasu; bo już w lutym 1981 r. dostaję wezwanie do odbycia ćwiczeń w KWMO. Kwaterujemy w jednostce wojskowej przy ul. Kruczkowskiego (obecnie Herberta). Wszyscy wezwani na ćwiczenia to rezerwiści WOP albo jednostek podległych MSW. Nie przypominam sobie czy były prowadzone jakiś ćwiczenia, czy nie. Natomiast prawie każdej nocy jesteśmy rozwożeni do poszczególnych komisariatów, gdzie uczestniczymy pojedynczo lub po kilku w patrolach pieszych lub zmotoryzowanych patrolujących miasto lub bierzemy udział w interwencjach związanych z awanturami lub nadużywaniem alkoholu. Jednej nocy uczestniczymy w wyjeździe do miejscowości Firlej i bierzemy udział w patrolach na terenie miasteczka. Tak się potem zastanawiałem, co miały na celu te 13 dni ćwiczeń. Może było to praktyczne sprawdzenie planu mobilizacji. A może to nie przypadek, że termin ćwiczeń zbiegł się z powołaniem nowego rządu pod przewodnictwem gen. Jaruzelskiego. Po ćwiczeniach wracam do pracy. W kraju narasta kryzys ekonomiczny i polityczny. Ciągłe wybuchają strajki i konflikty na linii „władza”–„Solidarność”. W pracy szykuje się zmiana. Odchodzi kierownik Wydziału Mechanicznego. Krążą pogłoski, że to ja mam zająć jego miejsce. W sklepach pustki, a zbliżają się Święta Bożego Narodzenia. Jestem umówiony z rodzicami i 12 grudnia przyjeżdżam do Urzędowa, odbywa się świnioobicie. Jutro z wałówką będę wracał do Lublina.

13 grudnia rano budzi mnie głośna rozmowa mojej mamy z sąsiadką. Kilka razy pada słowo wojna. Zaczynam coś przeczuwać. Włączam telewizor. Brak obrazu. Po pewnym czasie ukazuje się gen. Jaruzelski ze swoim przemówieniem. Jest stan wojenny. Co robić? Trzeba wracać do Lublina. Tam czeka żona z dwójką małych dzieci. Robi się zimowo, pada śnieg. W Urzędowie spokoj. Autobusem o godzinie 17.00 z pełnymi torbami jadę do Lublina. Po drodze spokojnie, normalnie, cały czas pada śnieg. Lublin wygląda jak zwykle. W domu żona informuje mnie, że był żołnierz z wezwaniem do wojska. Postanawiam, że rano jak zawsze pojedę do pracy. Z tym postanowieniem kładę się spać. Nad ranem budzi mnie dzwonek do drzwi. W drzwiach stoi żołnierz, wręcza mi wezwanie do stawienia się rano do KWMO przy ul. Narutowicza. Po śniadaniu jadę na ul. Narutowicza. Zgłaszających się kierują do sali kina „Gwardia”.

Jesteśmy ostatnimi, którzy się zgłaszają, większość została już wczoraj wezwana, umundurowana i przewieziona do miejsca zakwaterowania. Jesteśmy tą resztką, której wczoraj gońcy nie zastali w domach. Kolejno małymi grupkami jedziemy do magazynu w Jabłoncej, gdzie przebieramy się w mundury a cywilne ubrania pakujemy do worków. Z Jabłoncej jedziemy na al. Kraśnicką do jednostki wojskowej. Tu kwaterują nas w dużej hali sportowej 7 pułku. W hali zimno. W nocy mróz uszkodził rurę od centralnego ogrzewania, kaloryfery nie grzeją. Organizacyjnie stanowimy Kompanię Ochrony w ramach Rezerwowego Oddziału Milicji Obywatelskiej (w skrócie ROMO). Jestem w 1 drużynie, dokładnie nie pamiętam, ale chyba 2 plutonu. Dowódcą kompanii i plutonów są oficerowie SB lub ZOMO. Dowódcą mojego plutonu jest chorąży, już w starszym wieku, a dowódcą drużyny młody kapral z ZOMO. Obiad i kolacja w żołnierskiej stołówce. Warunki sanitarne raczej fatalne. Wszędzie biegają olbrzymie prusaki – po ścianach, stołach, sprzętach. Są nawet wewnątrz wagi służącej do ważenia porcji. Dowódcy starają się opanować chaos, jaki panuje na hali. Grupują ludzi z poszczególnych drużyn w jednym miejscu. Rozłożone łóżka polowe ustawiamy w długie rzędy i zajmujemy miejsca tak, żeby członkowie drużyn byli obok siebie. Zaczynamy poznawać się wzajemnie i tak kończy się dzień. W hali nadal zimno. W zimnej hali sportowej spędzamy następny dzień, przerywany śniadaniem, obiadem i kolacją w wojskowej stołówce. Po kolacji zbiórka i odprawa. Padają mocne słowa o dyscyplinie i wykonywaniu rozkazów. Przygotowujemy się do wyjazdu do Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku.

15 grudnia przed północą. Jest mroźna zimowa noc. Jedziemy milicyjnymi samochodami ciężarowymi do Świdnika. Wsiadamy na placu przed biurowcem WSK. Obok blaszanej bramy na prawo od biurowca stoi czołg, który co pewien czas oddaje strzał. W pobliżu bramy kręcą się milicjanci, rzucając za bramę ładunki z gazem łzawiącym. Naprzeciwko biurowca stoi już dwusereg milicji, na lewo ci uzbrojeni w tarcze, hełmy z przyłbicami i długie pałki, pośrodku inni, uzbrojeni już mniej bojowo. My dołączamy na prawe skrzydło tego dwuszeregu uzbrojeni skromnie tylko w krótkie pałki i maski przeciwgazowe. Wśród stojących dowódców milicji i wojska panuje nerwowa atmosfera; prowadzą między sobą ożywione rozmowy. Rusza czołg w kierunku bramy. Najeżdża na murowany słup bramy. Słup i blaszane wrota upadają na ziemię. Czołg wycofuje się. Za bramą widać ciemną przestrzeń wypełnioną kłębamii gazu łzawiącego, z którego wylaniają się rosące po bokach świerki. Chyba tak naprawdę nikt nie wie, co może nas spotkać za bramą. Pada komenda: „Całość w prawo zwrot”. Jestem kompletnie zaskoczony. Okazuje się, że to właśnie moja kompania znalazła się na czele tej długiej kolumny, która ma wejść na teren zakładu. Ruszamy powoli w stronę bramy. Widzę, że idący przede mną rezerwiści zaczynają zwalniać i starają się wcisnąć za idących za nimi. W pewnym momencie orientuję się, że właśnie znalazłem się na czele kolumny;

wykonuję więc manewr wycofania się i staram się być jak najdalej od czoła. Przechodzimy przez leżącą bramę, gaz zaczyna szczypać w oczy. Poza tym pusto, nie widać ludzi. Słyszę głosy: „Zakładać maski”, „Idziemy w lewo do biurowca”. Usuwam się w bok, zdejmuję okulary i zakładam maskę. Sytuacja kuriozalna. Nic nie widzę, bo szkła od razu zapotniały. Mijający nas milicjanci wołają: „Po co wam te maski?”. Zdejmuję maskę i biegnę szybko w stronę wejścia do biurowca. Wbiegam do środka. Hol jest już pełny rezerwistów. Padają polecenia przeszukania wszystkich pomieszczeń. Wchodzę do najbliższego. To ubikacja. Widzę na wprost otwarte okno, po lewej kabiny. Ostatnia, przy samym oknie, zamknięta. Otwieram wolno drzwi, w kabinie siedzi człowiek. Zrywa się energicznie, ja odskakuję, jeden skok i znika za oknem. Wracam na hol, zaglądam jeszcze do małego pomieszczenia. Stoi tam powielacz, widać, że jeszcze niedawno był używany. Obok leżą świeżo wydrukowane ulotki na cieniutkim brązowym papierze formatu A5. Zgarniam jedną do kieszeni i wychodzę. Kieruję się za innymi na pierwsze piętro. Zajmujemy dużą salę konferencyjną przy gabinecie dyrektora. Emocje opadają, robi się ciepło. Siadamy na krzesłach, inni kładą się na wykładzinie dywanowej. Można się zdrzemnąć. Świta. Wstaje mroźny grudniowy dzień. Rano wracamy samochodami do hali sportowej 7 pułku przy al. Kraśnickiej. Nie pamiętam, ale chyba zostało już uruchomione grzanie.

16 grudnia przed północą. Jedziemy do Fabryki Samochodów Ciężarowych. Nasze samochody zatrzymały się na ul. Melgiewskiej naprzeciwko bramy wejściowej do fabryki po przeciwnej stronie ulicy. Jest bardzo zimna noc. Czekamy cały czas w samochodach, nic się nie dzieje. Mijają godziny. Ponieważ mam źle dobrane buty (za niskie w podbiciu i mogłem założyć tylko pojedyncze skarpety), bardzo marzną mi stopy. Prawie już nie czuję nóg. W końcu coś się zaczyna dziać. W okolicy bramy zaczyna się ruch. Pracownicy zaczynają opuszczać zakład. Wsiadamy z samochodów i plutonami idziemy na teren fabryki. Za bramą skręcamy w lewo i idziemy w kierunku południowym. Z przeciwka idzie grupa ludzi. To chyba same kobiety. Schodzimy z drogi i stajemy z boku, żeby mogły przejść. Kobiety, widząc stojącą grupę mundurowych, zaczynają nas wyzywać i przeklinać w niewybredny sposób. Jest mi strasznie głupio. Dobrze, że to noc i nawzajem się nie widzimy. Po przejściu grupy kobiet robimy jeszcze kawałek rundy po terenie fabryki i wracamy do samochodów. W drodze powrotnej jedziemy jeszcze do magazynów milicyjnych mieszczących się obok Lubelskich Zakładów Naprawy Samochodów przy ul. Męczenników Majdanka, sprawdzić czy nie zostały naruszone. Nad ranem wracamy do miejsca zakwaterowania na terenie 7 pułku przy al. Kraśnickiej.

17 grudnia wieczór. Jak w poprzednie dni, odprawa. Jedziemy do Fabryki Łożysk Toczyńskich w Kraśniku. Tym razem już nie samochodami ciężarowymi, ale autobusem z działającym ogrzewaniem. W autobusie gra radio. Podają wiadomości. Słucham wiadomości pierwszy raz od 13 grudnia. Podają informacje o zajściach

w kopalni „Wujek” i zabitych górnikach. W autobusie nastrój minorowy, cisza, nikt nic nie mówi. Dojeżdżamy do skrzyżowania z drogą dojazdową do fabryki. Stajemy za skrzyżowaniem; tu wysiadamy. Wchodzimy w las w kierunku północnym, lekko prószy śnieg. Prowadzi nas miejscowy milicjant. Idziemy wzdłuż ogrodzenia fabryki, mijając halę kuźni. Za kuźnią jest przecięte ogrodzenie. Wchodzimy na teren zakładu. Mijamy halę nr 6 i wchodzimy do hali nr 4 od strony północnej. Przechodzimy obok miejsc, w których jeszcze kilkanaście lat temu pracowałem. Hala jest pusta, nie ma żywej duszy. Wychodzimy na zewnątrz. Od strony hali narzędziowni zbliża się kolumna ludzi. Na przodzie jest niesiony krzyż, po bokach palące się świece, ludzie śpiewają religijne pieśni, lekko prószy śnieg. Wszystko to w tle nocnego zimowego lasu. Stoimy i patrzymy, nikt się nie rusza. Wszystko to jakies nierealne, dziwne. Idziemy jeszcze kawałek, zawracamy i za wychodzącymi grupami ludzi idziemy przez główną bramę do naszego autobusu. Mijamy stojące przed bramą autobusy, do których wsiadają ludzie. My wracamy do Lublina. Okazuje się, że już nie do 7 pułku, ale do akademików UMCS. Kwaterujemy się w DS „Dodek”.

Od następnego dnia nasza kompania zaczyna pełnić służbę wartowniczą na terenie miasteczka akademickiego. Wartownia jest na parterze DS „Grześ”. Posiłki jemy w stołówce studenckiej przy ul. Langiewicza. W wigilię Świąt Bożego Narodzenia czeka nas uroczysta kolacja. Milicyjna orkiestra gra melodie kołęd. Jacyś pułkownicy przemawiają, składają życzenia świąteczne, obiecują, że już za parę dni wrócimy do domów. Co okazało się nieprawdą. Mam pecha i w Boże Narodzenie wypada mi służba. Po świętach wydają nam broń; stare pepesze z okrągłymi bębenkami, pamiętające chyba jeszcze II wojnę światową, oczywiście bez amunicji. Z bronią chodzimy na warty.

Nie pamiętam dokładnie kiedy, ale chyba na początku stycznia zmieniamy miejsce zakwaterowania. Moja kompania przenosi się do hotelu „Victoria” przy ul. Narutowicza. Został zajęty jeszcze hotel „Europa” i „Motel” przy ul. Prusa. Posiłki jemy w hotelowej restauracji, obsługują nas kelnerzy. Głównym naszym zadaniem jest służba wartownicza w systemie: dzień służby wartowniczej, dzień odpoczynku i dzień zmiany czuwającej. Oprócz tego sporadyczne wyjazdy na szlabany, patrole na mieście lub różne inne dyżury. Przez cały czas pobytu w hotelu „Victoria” większość służby wartowniczej pełnię przy wejściu do hotelu, bądź na parkingu hotelowym (w budce portierskiej), który mieścił się z tyłu za budynkiem. Warty, szczególnie na parkingu, to jedna wielka nuda. Jest i urozmaicenie w służbie. To sporadyczne 24-godzinne dyżury na szlabanach ustawionych na rogatkach Lublina i patrole na mieście. Na patrole na mieście wychodzimy z pepeszami przewieszonymi przez plecy. Dla odmiany mam też kilka nocnych dyżurów w Milicyjnej Izbie Dziecka. Są też dyżury całą drużyną w budynku KWMO jako pododdział alarmowy.

Od lutego w dni odpoczynku wydawane są przepustki do domu, najpierw tylko na 12 godzin, później na całą dobę. W marcu odbieramy z magazynu w Jabłonnej na-

sze cywilne ubrania. Możemy wychodzić na przepustki po cywilnemu. Czas dłużył się niemiłosiernie. Zaczął się kwiecień i Święta Wielkanocne. Znowu pechowo w pierwszy dzień świąt mam służbę. Tuż po świętach, 15 kwietnia 1982 r. koniec „ćwiczeń” i wracamy do domów. W książeczce wojskowej mam zapis: „Odbył ćwiczenia wojskowe w KWMO Lublin od dn. 14.12.1981 do dn. 15.04.1982 r.”.

Wracam do pracy, a tu zmiany. Nie ma już Służby Głównego Mechanika. Wszystkim zarządza teraz nowy kierownik Wydziału Mechanicznego. Główny mechanik jest teraz kierownikiem Zespołu ds. Utrzymania Ruchu, a ja jestem specjalistą ds. planowania i zamówień w tym dziale. Po paru miesiącach okazuje się, że tak naprawdę to nie ma zbytnio co planować i zamawiać. Nie wszyscy z dyrekcji darzą mnie sympatią. Zaczynam rozglądać się za nową pracą. Naprzeciwno, po drugiej stronie ul. Mełgiewskiej, rośnie nowa gigantyczna hala Zakładów Metalurgicznych Lublin (ZML). Tam szukam pracy. Jest wolny etat w Dziale Nadzoru Inwestycyjnego. Mój przyszły kierownik jest zainteresowany moją osobą. Umawiamy się na drugi dzień na uzgodnienie szczegółów zatrudnienia. Następnego dnia dowiaduję się, że wczorajsza propozycja jest nieaktualna. Szkoda.

Dalej szukam możliwości zatrudnienia, ale jest trudno. W moim dziale jest nowy pracownik, który przeniósł się z FSC. Słucha moich narzekań o problemach ze znalezieniem pracy w budującej się nowej odlewni. Po kilku dniach pyta mnie, czy jestem naprawdę gotowy zmienić pracę. Odpowiadam: „Tak”. Podaje mi nazwisko konkretnej osoby, do której mam się zgłosić. Chyba nawet tego samego dnia jestem na budowie odlewni. Wszystko załatwiam bez problemów. Będę pracował w nowo powstałym Sekretariacie Odbiorów Inwestycyjnych. Jak się okazało, w tym przypadku dopisało mi szczęście. Osoba, do której się zgłosiłem, dostała zadanie szybkiego utworzenia nowej komórki organizacyjnej i usilnie poszukiwała kandydata do jej obsadzenia. Teraz tylko potrzebna zgoda dyrekcji w moim zakładzie. Idę do mojego dyrektora w ZEB. Odsyła mnie do dyrektora Kombinatów Budowlanego. Ten z powrotem odsyła mnie do dyrektora w ZEB. Zabawa dyrektorów trwa w najlepsze. Po kilku dniach jestem kompletnie załamany. Przypadkiem odwiedza mnie kolega Janusz C. (z Urzędowa), który też mieszka i pracuje w Lublinie. Rozmawiamy o moich problemach ze zmianą pracy. Obiecuje mi pomoc. Na drugi dzień w pracy otrzymuję telefon z Kombinatów Budowlanego. Podpisana obiegujka już czeka na mnie w kadrach.

Przez pierwsze lata pracy w ZML mój pokój sąsiaduje z Działem Nadzoru Inwestycyjnego i wiem, że stanowisko, na które miałem być przyjęty, nie zostało obsadzone, a obowiązki rozdzielono pomiędzy innych pracowników. Cały czas nurtuje mnie pytanie, dlaczego zrezygnowano z przyjęcia mnie do pracy w tym dziale. Po paru latach, już po 1989 r. przypadkowo, idąc przez zakład, spotykam mojego niedoszłego kierownika. Idziemy w jednym kierunku i rozmawiamy. W pewnym momencie mój rozmówca mówi coś takiego: „Wie pan, bardzo pana chciałem przyjąć. Pasował mi pan na to stanowisko. Ale zaraz po pana wyjściu odebrałem telefon z sugestią, by pana nie przyjmować do pracy”.

Hanna Bąk

## Moje przeżycia związane z tragiczną śmiercią i pogrzebem ks. Jerzego Popiełuszki

Z myślą o tym, że na wiedzę zbiorową składają się wspomnienia wielu osób, postanowiłam opisać swoje. Moje przeżycia odżyły wraz z wprowadzeniem do urzędowskiego kościoła relikwii błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszki dzięki staraniom naszej rodaczki prof. Zyty Grabowskiej, która uczestniczyła w sekcji zwłok zamordowanego kapłana.

W dniach poszukiwań zaginionego księdza byłam w Warszawie, cała stolica żyła tymi wydarzeniami. W oczekiwaniu na tramwaj podchodzę do grupki ludzi, którzy nie ukrywali swojego zaniepokojenia nagłym zniknięciem ks. Jerzego, i pytam: „Gdzie ten ksiądz pracował, w którym kościele?”. Odpowiedź: „Dwa przystanki dalej. Zapyta pani o kościół św. Stanisława Kostki”. Nie zastanawiając się, wsiałam do wskazanego tramwaju i w ciągu kilkunastu minut widzę kościół otoczony ludźmi, wchodzę do wewnątrz, a tam mnóstwo osób modlących się w skupieniu. Atmosfera udzieliła się i mnie, klękam i razem z innymi modlę się o szczęśliwy powrót zaginionego. Po kilku minutach wychodzę, gdyż ma być ogłoszony komunikat. Otwiera się okno w budynku parafialnym, z którego przemawia ksiądz: „Jesteśmy w ciągłym kontakcie z kurią oraz komendą milicji, ale w dalszym ciągu nie ma żadnych nowych wiadomości, prosimy o dalszą modlitwę, zachowanie spokoju i cierpliwości”. Przed kościołem coraz więcej ludzi, którzy dobrze znali zaginionego kapłana. Wspominają strajki w zakładach pracy, na uczelniach, zwalnianych z pracy ludzi i aktywność kapłana „Solidarności” ks. Jerzego, który na wiadomość o strajkach jedzie do strajkujących, odprawia mszę św., głosi Słowo Boże. Studenci strajkujących uczelni w jego mieszkaniu znajdują schronienie, zwalnianym z pracy wozi paczki żywnościowe. Jedna z pań opowiada o pielgrzymce pieszej na Jasną Górę, w czasie której ks. Jerzy prowadził rozważania. W swoich naukach powtarzał: „Bracie i sestro! Zło dobrem zwyciężaj”. Ten kapłan przygarniał wszystkich, którzy do niego przychodzili. „To cudowny, skromny człowiek, szkoda, że go pani nie poznała” i łzy popłynęły jej z oczu. To mnie wzruszyło i zmobilizowało, by śledzić dalsze losy zaginionego kapłana. Każdego dnia słuchałam z uwagą komunikatów i słyszę: „Zwłoki ks. J. Popiełuszki wyłowiono z Wisły”. Następnie oczekuję ogłoszenia daty pogrzebu z postanowieniem, że na ten pogrzeb pojedę. I słowa dotrzymałam.

Na dzień 3 listopada 1984 r. poprosiłam o wolny dzień, gdyż jadę na pogrzeb ks. Jerzego. W odpowiedzi przełożonego usłyszałam: „Ja ci odradzam ten pomysł, czy wiesz czym to grozi? Tam mogą być jeszcze aresztowania”. „Panie doktorze! Taką decyzję podjęłam i nie zrezygnuję!”. „Trudno, twój wybór, ja cię tylko ostrzegam!”.

Wieczorem 2 listopada 1984 r. pociągiem z Kraśnika dojechałam do Lublina, czekam 3 godziny na dworcu i koło godziny 24.00 jadę do Warszawy. W przedziale

pani siedząca obok mnie pyta: „Dokąd pani jedzie?”. Odpowiadam: „Do Warszawy na pogrzeb ks. J. Popiełuszki”. „Widzę, że pani sama, a tam dalej w przedziałach siedzą ludzie, którzy wsiadali w Świdniku i słyszałam, jak rozmawiali, że jadą na pogrzeb księdza”. Pozbierałam swoje rzeczy, weszłam do następnego przedziału i zapytałam: „Czy mogę dołączyć do tej grupy?”. Któryś z pasażerów ustąpił mi miejsca, sam poszedł do innego przedziału. Wrócił z drugim panem – kierownikiem grupy, który zaczął mnie pytać, gdzie pracuję, dlaczego jadę na pogrzeb, czy należę do „Solidarności”? Odpowiedziałam mu szczerze, wręczając swoje dokumenty, łącznie z dowodem osobistym, by miał pewność, że mówię prawdę. Wtedy ten pan przeprosił mnie, że tak szczegółowo pytał, dodając: „Niech nas pani zrozumie, moja żona siedzi w więzieniu za „Solidarność”, tej pani syn również i tak mógłbym wyliczać. Proszę zostać z nami w tym przedziale, jedna prośba – w Warszawie mogą być prowokacje, proszę nie wdawać się z nikim w żadną rozmowę. Dojeżdżamy do Warszawy, wysiadamy w ciszy, na przystanku tramwajowym podzielimy się na dwie grupy”.

I tak było. O godzinie 5.00 rano byliśmy przed kościołem św. Stanisława Kostki. Panowie wyciągają wieńce z worków po cemente, a panie drżącymi rękoma wyciągają szarfy zwinięte w rulon z napisami „Kapelanowi »Solidarności« – »Solidarność« ze Świdnika”. Ja im w tym pomagam. Delegacja ze Świdnika wnosi te wieńce do kościoła. Reszta osób zostaje na zewnątrz. Ja im dziękuję za wspólną podróż i za to, że mnie przygarnęli. Mamy wspaniałe miejsca, stoimy za ogrodzeniem na wprost trumny śp. ks. Jerzego Popiełuszki i ołtarza. Z każdą godziną robi się coraz ciasniej. Uroczystość pogrzebowa rozpocznie się za kilka godzin. Odmawiamy różaniec, modlimy się, śpiewamy. Pojawiają się nowe delegacje z różnych stron Polski i z zagranicy. Podają wieńce i wiązanki kwiatów, do których dołączone są szarfy. Dobrze, że mam długopis i kartkę, zapisuję treść. Z tej kartki dziś korzystam: „Nie zapomnimy – studenci prawa”, „Do Wolności i Niepodległości przez Krzyż”, „Żegnamy Cię w bólu Patronie »Solidarności«”, „Słowa Twoje poniesiemy – Uniwersytet Warszawski”, „Zamęczonemu za Prawdę i Godność Człowieka – Wieczna Chwała, lecz Duszy zabić się nie da”, „Ks. Jerzy Popiełuszko Nasz Pasterz, Brat zginął śmiercią męczeńską w służbie Bogu i Ojczyźnie” oraz tekst pieśni *Ojczyzno ma*, która była śpiewana w czasie uroczystości pogrzebowej.

Uroczystość pogrzebowa rozpoczęła się o godz. 11.00 przy olbrzymiej ilości kapłanów, zakonników, biskupów zgromadzonych pod przewodnictwem prymasa Polski kardynała Józefa Glempa, zgromadzeń zakonnych, rodziny, przyjaciół ks. Jerzego, różnych organizacji społecznych i politycznych. I niezliczone rzesze wiernych. Ludzie stali na balkonach, na drzewach, na wszystkich

przylegających ulicach. Około godz. 14.30 trumna ze zwłokami zamordowanego ks. Jerzego Popiełuszki została umieszczona w grobie na cmentarzu przy kościele.

I tak w ciszy i skupieniu dotarłam razem z tłumem ludzi do głównej ulicy, na której stały wozy milicyjne zwane „sukami” z okratowanymi szybami. I tu przypomniały mi się słowa przestrogi: „Tam mogą być jeszcze aresztowa-

nia”. Ale tak nie było, nie aresztowali. Podstawionych było dużo samochodów komunikacji miejskiej, z której skorzystałam. Dojechałam na dworzec PKS i autobusem Warszawa–Biłgoraj bez żadnych przesiadek wróciłam szczęśliwie do domu pełna wrażeń, którymi dzieliłam się z najbliższymi. Zmęczona, ale szczęśliwa, że mogłam uczestniczyć w tych smutnych uroczystościach.

---

*Elżbieta Kuśmiderska*

## Dwie wycieczki

Każdego roku, wiosną organizowałam dla młodzieży ze Szkoły Podstawowej w Moniakach jedną daleką wycieczkę „w Polskę”.

W 1983 r. zaplanowałam wyprawę na Wybrzeże. Pojechaliśmy dalekobieżnym pociągiem. W wycieczce uczestniczyło 55 osób (w tym kierownik i pięciu opiekunów). Po Wybrzeżu jeździliśmy autobusem PKS z Gdańska i kolejką.

Po zwiedzeniu miasta przewodniczka podprowadziła nas przed bramę Stoczni Gdańskiej i oznajmiła, że dalej z nami nie pójdzie. Powiedziała tylko, żebym zapytała funkcjonariusza MO czy pozwoli nam zatrzymać się przez chwilę przy krzyżach. Mogliśmy tam przebywać tylko 10 minut.

Szłam na czele grupy. Okazało się, że młodzież przechodząca obok kiosku z kwiatami, zachęcona przez kwaciarkę, kupiła 15 wiązanek kwiatów. Podszedłszy do krzyży, dzieci kładły u ich stóp kwiaty, które milicjanci odrzucali na bok. Niektórzy chłopcy kładli je z powrotem na miejsce. Zapanował chaos. Jeden ze starszych milicjantów podszedł do mnie i do Teodory Węclawskiej (matki ucznia) i zażądał dowodów osobistych. Spisał, co trzeba i powiedział: „Nic dziwnego, że w Polsce są strajki, skoro są tacy nauczyciele”. Zmilczałam. Zapytałam tylko, czego mam się spodziewać po powrocie do domu – kary pieniężnej, czy więzienia. Odpowiedział, że dowiem się o tym po powrocie do domu. W tym momencie pilnujący bramy stoczni strażnicy podeszli do wycieczkowiczów i oznajmili: „Tu jest wasze miejsce i możecie składać kwiaty. Nie mogą wam tego zabraniać”. Wówczas do strażników podeszli milicjanci i jak się można domyślać doszło do ostrej wymiany zdań.

Po czterodniowej wycieczce zostałam wezwana na „dywanik”. Oburzony dyrektor krzychał: „Zachciało się Pani wycieczki do Gdańska w stanie wojennym!”. Wówczas odrzekłam, że stan wojenny mnie nie obchodzi, ja tylko chciałam pokazać dzieciom polskie Wybrzeże.

Innym razem wybrałam się z młodzieżą do Warszawy. To była niedziela, luty 1985 r. Właśnie tego dnia wyjechaliśmy z uczniami kl. V–VIII Szkoły Podstawowej w Moniakach w celu obejrzenia sztuki Leona Kruczkowskiego *Niemcy* w Teatrze na Woli. Po spożyciu obiadu przy placu Grzybowskiim i krótkim odpoczynku udaliśmy się do kościoła pw. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Pragnęliśmy pomodlić się przy grobie ks. Jerzego Popiełuszki. Autokar

zatrzymał się daleko od świątyni. Przed wyjściem z autobusu oznajmiłam wycieczkowiczom i ich opiekunom, że od tej chwili nie znamy się, zabroniłam rozmawiać z nieznanymi. Kierowca autobusu wiedział, że są tacy ludzie, którzy kontrolują autokary przyjeżdżające do stolicy. Przy kościele młodzież rozpięchła się we wszystkie strony. Jedni stali przy mogile ks. Jerzego, inni nabywali pamiątki związane z postacią zamordowanego księdza. Opiekunowie cały czas mieli swoje grupy na oku. Największe wrażenie wywierała szopka w otwartym bagażniku: nagie dzieciątko na sianie przy przejmującym mrozie. Owa niezwykła szopka znajdowała się w takim samym samochodzie, w jakim był przewożony skrupowany kapłan – Jerzy Popiełuszko. Potem wszyscy uczestnicy wycieczki zgromadzili się w świątyni i brali udział we mszy świętej, podczas której studenci grali i śpiewali kolędy. Do teatru dotarliśmy punktualnie. Rolę profesora Sonnenbrucha grał niezapomniany Jan Świdorski.

Po wycieczce okazało się, że „stróże porządku publicznego” dotarli do naszego autokaru i spisali numery. Przesłali informację do działu przewozów Fabryki Łożysk Toczyńskich w Kraśniku, gdzie kierownikiem był urzędowianin, mój kolega Tadeusz Wośko. Przez jakiś czas od tego zdarzenia nikt nie mógł wynająć autokaru na kurs do Warszawy.

Tak się złożyło, że Urszula Lewandowska – nauczycielka szkoły w Urzędowie chciała pojechać z uczniami do stolicy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego odmawiają jej wynajmu. Powiedziano, że mogą jej dać autokar do każdego miasta w Polsce, nawet do Częstochowy, byle nie do Warszawy. Podczas spotkania ze mną zapytała: „Co ty narobiłaś w tej Warszawie, że mnie teraz nie chcą wynająć autobusu?”. Zaskoczona tym, co usłyszałam, wyjaśniłam, co może być tego przyczyną. Podczas rozmowy z uczniami dowiedziałam się, że jacyś panowie w cywilnych ubraniach próbowali nawiązać z nimi kontakt przy kościele, pytając z kim przyjechali. Dzieci ostrzeżone w autobusie unikały rozmów, uciekały natrętom i ginęły w tłumie lub w kościele. Nie zdradziły kierowniczkę wycieczki ani opiekunów. Mój kolega dochował tajemnicy, oszczędzając mi przykrości w pracy.

Pielgrzymujący do grobu męczennika mogli się przekonać, że wspaniały kapłan Jerzy Popiełuszko, święty człowiek, będąc w zaświatach jeszcze zagrażał władzy tzw. „ludowej”.